Od dzisiejszego dnia „Świat Młodych" będzie się ukazywał znów trzy razy w tygodniu! Równocześnie zmieniamy nie jego wygląd. Napiszcie nam, co sądzicie o tej zmianie i o czym chcielibyście przeczytać w najbliższych numerach naszej gazety. Czekamy również na listy opisujące wszystko to, co dzieje się w Waszym otoczeniu. Trzymajcie się ciepło!

CZWARTEK Nr 14 1.II.1979 Cena 1.50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

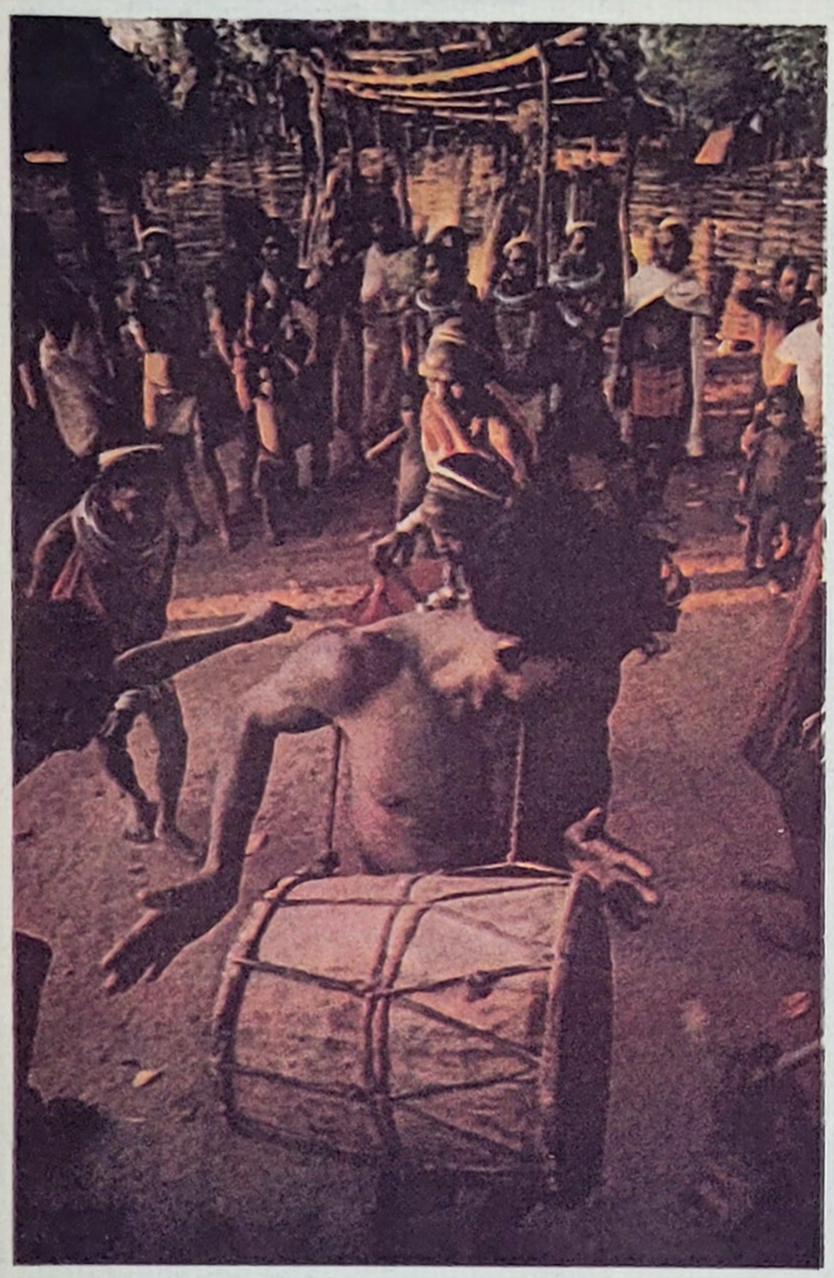

Afryka od wewnątrz: Suazi

KAPCIE

POWINNY STAĆ RÓWNO!

Środkową półkę w szafie zajmują ciuchy Ewki. Tutaj wszystko ma swoje miejsce. Po prawej stronie leżą złożone w kostkę bluzki, po lewej – bielizna, w głębi ustawione przeróżnej wielkości pudełka z drobiazgami. Obok, na drzwiach szafy, wisi spis posiadanych przez nią rzeczy. To nie dlatego, żeby nie ufała swoim współlokatorkom. Nie, po prostu Ewa lubi wiedzieć dokładnie, co ma. Jej dotychczasowe życie wygląda tak, jak te śliczne półki w szafie – usystematyzowane, ułożone, porządne i bez niespodzianek.

Najwyższą półkę zajmują rzeczy Kryśki, zaś tę na samym dole – Jolki. Nie różnią się one zbytnio – taki sam tu bałagan. Kryśka tłumaczy, że ciężko jest jej sięgać tak wysoko, z kolei Jolka twierdzi, że dostanie garbu od tego wiecznego schylania się.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Odpowiedź na naszą interwencję

UCZNIOWIE Z ŁABISZEWA dojeżdżają już w lepszych warunkach

W nr 135 „ŚM" z ub. roku zamieściliśmy artykuł o zamkniętej szkole w Łabiszewie i kłopotach z dojazdem uczniów z tej miejscowości do szkoły w Dobieszewie. W odpowiedzi otrzymaliśmy list, w którym Kuratorium Oświaty i Wychowania w Słupsku m. in. informuje:

„W porozumieniu z dyrektorem kombinatu PGR w Borzęcinie usprawniono dowożenie młodzieży poprzez: zwiększenie częstotliwości kursów przyczepy do trzech razy dziennie, przystosowując kursy do godzin rozpoczęcia zajęć w szkole. W najbliższych dniach zakupiona zostanie ogrzewana przyczepa autobusowa o większej pojemności. Ze względu na brak nauczyciela dla punktu filialnego w Łabiszewie zawieszona zostaje działalność w/w punktu do końca br. szkolnego. Kuratorium dołoży wszelkich starań, by punkt filialny w Łabiszewie z nowym rokiem szkolnym wznowił swą działalność."

Dziękujemy za wyjaśnienie. Mamy nadzieję, że „najbliższe dni" już nadeszły i uczniowie z Łabiszewa dojeżdżają wreszcie w normalnych warunkach.

NAJWIĘKSZY STATEK RYBACKI W ŚWIECIE

● Może prowadzić połowy ryb na głębokości 2 200 m ● Jego hydrolokatory wykrywają pojedynczą rybę w odległości półtora kilometra ● W ciągu doby przerabia 107 ton surowca

NOWY POLSKI SUPERTRAWLER „B – 400"

Nim jeszcze spłynął na wodę, pisano o nim we wszystkich ważniejszych publikacjach poświęconych rybołówstwu i przemysłowi okrętowemu. Zbudowaliśmy go w Stoczni Północnej im. Bohaterów Westerplatte w Gdańsku na zamówienie armatora radzieckiego. Otrzymał nazwę M/S „Sprut" i już łowi ryby na jednym z oceanów. Stocznia Północna buduje pięć takich statków o nośności 3 550 DWT każdy, według projektów opracowanych przez zespół pod kierownictwem inż. Ludwika Zalewskiego.

Jest to właściwie ogromna pływająca wytwórnia konserw rybnych, tranów: technicznego i leczniczego, mrożonych filetów i mączki rybnej. Załoga mieszka w 1- i 2-osobowych kabinach o wysokim komforcie, co jest szczególnie ważne dziś, gdy po rybę trzeba wypływać coraz dalej.

Statki rybackie – niektóre z nich nie mające dotąd odpowiedników w światowym budownictwie okrętowym – to coraz większa specjalność polskich stoczniowców. Supertrawler „B–400" do nich właśnie należy. **(jd)**

W KRAJU LWA I SŁONICY

Genowefa Czekała

Niewiele jest już dziś we współczesnym świecie takich krajów, których władcy mogliby powiedzieć jak niegdyś Ludwik XIV w Europie: „państwo to ja". Tym osobliwym władcą jest król Suazi, monarchii – enklawy na terenie Republiki Południowej Afryki – Sobhuza II. Poddani nazywają go „ngwenyama", czyli lwem. Należy on do najdłużej panujących monarchów świata – tytuł „ngwenyamy" nadano mu w roku 1899, gdy miał zaledwie... siedem tygodni. Było to cztery lata przed przejęciem Suazi z rąk osadników burskich przez kolonialne władze brytyjskie. Od 1903 do 1968 roku Suazi pozostawało pod protektoratem Brytyjczyków, którzy jak w wielu innych swoich posiadłościach oparli się i tu na tradycyjnej elicie władzy. Była to najłatwiejsza droga utrzymania wpływów. Tę metodę przejęła od nich Republika Południowej Afryki, która w swoich bantustanach popiera tradycyjnych kacyków plemiennych i czyni wszystko, by podporządkowane jej gospodarczo i politycznie Suazi nie pozbyło się tyrańskiego władcy.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

BRAWO HSI Z OSTROWA WLKP!

Sami wykonują plakietki Warto brać z nich przykład

(Inf, wł.). Zespół Harcerskiej Służby Informacyjnej Hufca Ostrów Wielkopolski, poza innymi pracami oczywiście, sam wykonuje okazyjne plakietki. Plakietki robione są metodą zdjęciową w kilku kolorach i usztywniane tekturką. Jedną z tych plakietek prezentujemy na zdjęciu, uważając, że warto druhów z Ostrowa Wlkp. naśladować. (wm)

POLOMSKI... MISTRZEM ŻONGLERKI

(PAI). Nie, to nie nasz słynny piosenkarz, a 13-latek o nazwisku – Patrice Polomski z Blois (Francja). Jego ojciec Stanislas Polomski, którego polski rodowód nie stanowi dla nikogo tajemnicy, był kiedyś piłkarzem, a obecnie jest trenerem. Polomski-junior dzielnie kontynuuje rodzinne tradycje. W corocznie organizowanym we Francji dla kilkunastoletnich chłopców turnieju w żonglowaniu piłką pokonał wszystkich rówieśników. Jest także prymusem w szkole i chodzi do konserwatorium w Blois. **(rat)**

Przy 12-stopniowym mrozie, w czasie mgły i śnieżnej zamieci odbyły się Międzynarodowe Regaty SKI - YACHT na zalewie elektrowni „Rybnik"

Fotoreportażu pt. „Szajba" szukaj na stronie 7.

CENTRUM WYCHOWANIA MORSKIEGO ZHP KOŃCZY W TYM ROKU 20 LAT

Przed dwudziestu laty Główna Kwatera Związku Harcerstwa Polskiego powołała do życia Centrum Wychowania Morskiego z siedzibą w Gdyni. CWM otrzymał na pomieszczenia baraczek przy ulicy Śląskiej, kawałek nabrzeża w basenie jachtowym i... miejsce pod ewentualną budowę hangarów nad basenem.

O ile chodzi o sprzęt pływający, obecny jubilat zaczynał dosłownie od niczego. Harcerska morska flota nie istniała w owym czasie w ogóle.

Nie wszyscy oczywiście wiedzą, że jednym z inicjatorów budowy harcerskich jachtów był właśnie przed dwudziestu laty „Świat Młodych", który na swoich łamach szeroko propagował ten problem, walnie przyczyniając się do sprzedaży „cegiełek" na harcerską flotę. Pierwsze jachty przebudowane z szalup ratunkowych z „Batorego" (a było ich sześć) otrzymały imiona przedsiębiorstw rybackich: „Arka", „Barka", „Koga", „Kuter", „Korab", „Szkuner", i ogólną nazwę „Czerwonych żagli". „Czerwone żagle" służyły harcerzom przez dziesięć lat. W 1960 roku podniesiono banderę na największej harcerskiej jednostce – „Zawiszy Czarnym" – przebudowanej z rybackiego trawlera. „Zawisza Czarny" po dzień dzisiejszy stanowi harcerską jednostkę flagową. Obecnie flota harcerska składa się z 14 jachtów zatokowych, 7 jachtów morskich oraz szkunera sztakslowego – „Zawisza Czarny", któremu również stuknie za rok „dwudziestka".

Na tym sprzęcie, w samym tylko ostatnim żeglarskim sezonie przeszkolono ponad 3.000 harcerzy, a różnymi formami szkolenia wodnego objęto 17.000 harcerzy i instruktorów w całej Polsce. Harcerskie żagle w okresie dwudziestolecia swego istnienia dotarły do wielu portów świata – od Murmańska, za kręgiem polarnym, po Montreal, Hawanę czy porty kontynentu afrykańskiego.

Oprócz sztuki wielkiego żeglowania CWM prowadzi mrówczą pracę szkoleniową z drużynami wodnymi i żeglarskimi ZHP. W hangarach CWM (usytuowanych nad basenem jachtowym) pod okiem doświadczonego szkutnika druhowie wytypowani przez pilotów chorągwi uczą się trudnej sztuki budowania łodzi żeglarskich, aby wiedzę swoją przekazać w drużynach, szczepach czy też hufcach. Niemały procent dzisiejszych pracowników morza zaczynał właśnie swoje morskie szkolenie pod banderą z harcerską lilijką. (wm)

O REWOLUCJACH W NAUCE, DZIWAKACH I LUDZKICH PRZYZWYCZAJENIACH

Tak już jest, że kiedy przyzwyczailiśmy się do czegokolwiek, choćby smaku potrawy, sposobu postępowania czy opinii o kimś, to potem niesłychanie trudno zrezygnować nam z tego raz przyjętego upodobania. I nie ma prawie żadnego znaczenia czy nowy sposób postępowania jest lepszy od poprzedniego. Natychmiast bowiem podnoszą się przeciwko niemu głosy sprzeciwu ze strony ludzi przywiązanych do starych metod. Nie ma dziedziny życia, w której to zjawisko nie dałoby znać o sobie...

Kiedy w pierwszej połowie XIX wieku zaczęły się tu i ówdzie pojawiać tzw. kuchnie angielskie*), podniósł się ogromny krzyk, że potrawy na nich gotowane będą niesmaczne, a ciepło bijące od blachy szalenie szkodliwe dla zdrowia. Ale dzieje się tak przecież nie tylko w życiu codziennym...

Najciekawiej będzie ową dziwną cechę ludzką prześledzić na przykładach oporów, jakie budzi każde nowe odkrycie, teoria czy choćby hipoteza zjawiająca się w nauce.

GOETHE KONTRA NEWTON

Ataki na wszelką świeżą myśl naukową, szczególnie wtedy, gdy w sposób wyraźny narusza ona dotychczasowy sposób myślenia – mają swą długą historię. Chyba tak długą jak dzieje samej nauki.

Im dzieło bardziej odkrywcze, im szerzej i głębiej ujmuje jakieś zagadnienie, tym większą ilość przeciwników mobilizuje przeciwko sobie.

Publikacje tych, którzy dosłownie rzucili się na Newtona, kiedy ogłosił swe rozważania o czasie, przestrzeni, masie i ruchu – liczyć można na setki. Niektóre z owych polemicznych ksiąg miały po dwadzieścia i więcej wydań! W atakach na wielkiego uczonego wziął nawet udział równie wielki pisarz niemiecki, Goethe, mający ogromne ambicje naukowe. Niestety, jego dwa tomy gwałtownej polemiki z Newtonowską teorią światła pozostały tylko czymś najbardziej nieodpowiedzialnym w dziejach fizyki...

TRZEBA NA TO SIŁY I ODWAGI

Kiedy z kolei Albert Einstein opublikował swą teorię względności, oczywiście natychmiast skupił na sobie uwagę wszelkiego rodzaju maniaków. Książki odsądzające go od czci i wiary, pełne niewybrednych wymysłów i złośliwych obelg, zaczęły się rodzić jak grzyby po deszczu. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że wszystkie one wyszły spod piór napastliwych ignorantów. Wiele było autorstwa ludzi nauki, którzy po prostu nie potrafili tak szybko pogodzić się z koniecznością zrewidowania swych dotychczasowych poglądów. Nie mieli dość siły i odwagi, aby się od nich oderwać...

„Np. słuszne przedstawienie heliocentrycznego układu planetowego wypracowane przez Arystarcha, zostało zarzucone na rzecz geocentrycznego ujęcia Ptolomeusza, chociaż to ostatnie było błędne".

*„Bowiem postulat zmiany struktury myślowej może budzić poczucie, że się straci ziemię pod nogami"**).

Naprawdę wielkie odkrycia w dziedzinie fizyki dotyczą jej fundamentów, a wielcy uczeni w rodzaju Newtona, Einsteina czy Kopernika – chcąc nie chcąc – wywołują wśród swych kolegów po fachu prawdziwą rewolucję. Ma ona potem – jak każda rewolucja – trudne do przewidzenia konsekwencje wywracając do góry nogami to, co wydawało się tak solidne i niewzruszone.

Czyżby to oznaczało, że zawsze każdy nowy naukowy opis rzeczywistości, który zyskał sobie wreszcie wielu zwolenników jest „słuszniejszy" od starego, który staje się tym samym „niesłuszny"? Nie, oczywiście tak nie jest...

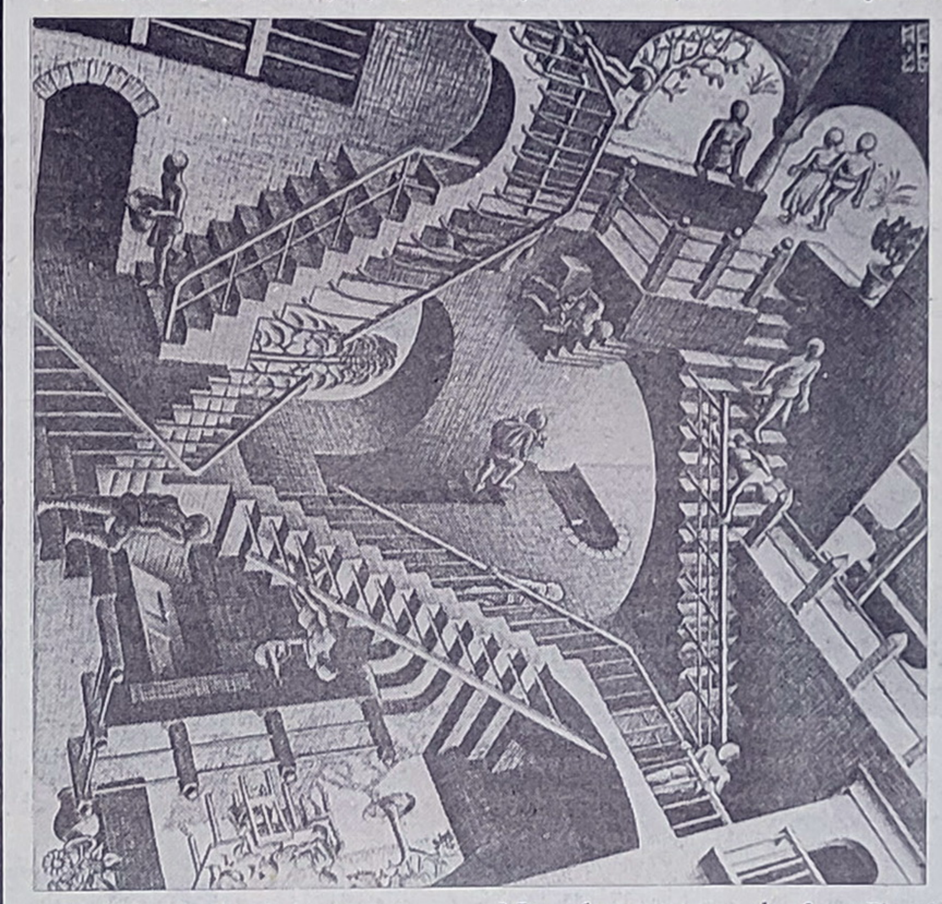

Powyższy rysunek nosi tytuł: „Względność" i często jest przypominany przy okazji pisania o Einsteinie. Ilustruje on bowiem jedną z zasad teorii względności mówiącej o tym, iż opis każdej sytuacji zależy od miejsca, z którego jest ona obserwowana. Ten rysunek można oglądać ze wszystkich stron nie ma w nim tradycyjnej „góry" i „dołu".

Rys. **M. C. Escher**

PRZECIWNICY WIELKIEGO ALBERTA

Zdarza się więc i tak, że nauka czasami niejako cofa się w swym rozwoju lub nagle zatrzymuje. Namiętni krytykanci Einsteina to mu w gruncie rzeczy zarzucali, wypisując w dobrej zapewne wierze nieprawdopodobne nonsensy na jego temat. Georges de Bothezat zarzuca mu np. iż **„nie jest zdolny zrozumieć wielkiej koncepcji Newtona"**. G. F. Gillette (inżynier!) nie owijając w bawełnę nazywa teorię względności **„dzieckiem kretyńskiego mózgu, cierpiącego na mentalną kolkę"**, **„zezowatą beznadziejnie wariacką fizyką"** i proponuje pochować jej autora obok braci Grimm i Baby Jagi. Równocześnie prezentuje swą własną koncepcję **„Wszechświata spiralnego"** wyjaśniając ze śmiertelnie napuszoną powagą, iż np. **„grawitacja jest odrzuconą nakrętką zakręconej śruby promieniowania..."**, a wszystko, co nas otacza składa się z **„unicząstek, supraunicząstek ulticząstek"**.

Jest w tych maniackich atakach na Einsteina pewna prawidłowość. Otóż wszystkie one są tyleż gwałtowne co nieodpowiedzialne i towarzyszą im zawsze własne teorie autorów, z których każdy porównuje się do Galileusza, Kolumba, Kopernika czy Newtona. Niżej nie schodzą...

CHARLES FORT – MANIAK CZY ŻARTOWNIŚ?

Kilka słów należy się w tym miejscu człowiekowi, bez którego nie mogła się obyć żadna polemika naukowa przełomu i pierwszej ćwierci naszego wieku. Nazywał się Charles Fort i założywszy „Towarzystwo Fortystów" wtrącał się absolutnie do wszystkiego, publikując najfantastyczniejsze banialuki na łamach pisanych przez siebie z wielkim talentem książek. W nich właśnie, obok informacji o galaretowatym morzu Super-Sargasso, zawieszonym nad naszymi głowami, z którego co raz spadają na ziemię żaby, ryby i różne przedmioty, rozprawił się z Einsteinem. Był to bowiem człowiek o nieprawdopodobnej fantazji, którego do dnia dzisiejszego podejrzewa się, iż całe życie tworzył swe teorie wyłącznie dla zabawy, aby irytować nimi uczonych. Trzeba przyznać, że udawało mu się to znakomicie. Kiedy opublikował swą krytykę Einsteina, w której dowodził, że Ziemia w ogóle się nie porusza, a światło nie ma żadnej prędkości – to jakby ktoś kij w mrowisko wsadził...

Jak dotąd cała sprawa wydaje się być względnie jasna i jednoznaczna. No bo z jednej strony mamy sławne i uznane w swych specjalnościach autorytety w rodzaju Newtona czy Einsteina – a z drugiej dziwaków, kawalarzy lub po prostu durniów. Rozróżnienie, po czyjej stronie leży prawda, jest więc łatwe...

Ale nie zawsze tak jest, szczególnie w momencie, gdy jakieś kolejne spojrzenie na naturę świata dopiero się rodzi. Wtedy nowa teoria pełna jeszcze sprzeczności, niedomówień, niedopracowań – jest wystawiona na ataki wszystkich, którym się zechce ją atakować. I nigdy nie wiadomo czym się takie ataki skończą: zwycięstwem czy klęską. Nie wiedzą o tym nawet najbardziej zainteresowani...

„W najlepszym razie zmiana w świadomość otwierająca drogę do myślenia nowego rodzaju może nastąpić po trwających przez całe lata zmaganiach z nową sytuacją (...). Ten komu zdarzyło się przeżyć rozpacz, z jaką mądrzy i zgodliwi ludzie reagują w nauce na postulat zmiany struktury myślowej, może właściwie dziwić się już tylko temu, że takie rewolucje w nauce w ogóle okazały się możliwe".

JERZY DĄBROWSKI

*) Do czasu wprowadzenia tych kuchni, w których palenisko zakryte było żeliwną płytą, gotowano powszechnie – nawet w najbogatszych domach – na odkrytym ogniu przystawiając doń garnki jedną stroną, lub stawiając je na trójnogach.

**) Zarówno ten cytat, jak i następne wydrukowane pochyłym i większym drukiem pochodzą z książki fizyka niemieckiego, laureata Nagrody Nobla, Wernera Heisenberga pt. „Ponad granicami", która już wkrótce ukaże się nakładem PIW.

Jutro czyli historia na kilka telefonów

Narzekanie na pocztę jest mało odkrywcze. Mniej odkrywcza jest już tylko próba siania powszechnej zgrozy za pomocą opisywania opóźnień pociągów. Na szczęście mamy oprócz listów i depesz wynalazek pana Bella, czyli telefon. Mało tego! Są w społeczeństwie grupy, w których przepływ informacji musi następować szybko i bez zakłóceń, nawet jeśli zawiodą osiągnięcia techniki. Wtedy działa stary, wypróbowany system łączników. Tak jest, a w każdym razie powinno być, również wśród harcerzy, gdzie każdy zastęp ma własny system łączności i np. zorganizowanie zbiórki alarmowej nie jest dla nich żadnym problemem.

Gdy więc zawiodła mnie poczta (dwa telegramy pozostały bez odpowiedzi) chwyciłam się jak koła ratunkowego tej myśli: zadzwonię do komendy chorągwi, oni są na miejscu, na pewno zawiadomią Joannę. Chodziło o to, że Joanna miała w nagrodę za zwycięstwo w naszym plebiscycie pojechać na zagraniczny obóz. Chciałam by potwierdziła swój udział i podała adres szkoły, żebym mogła wysłać pismo o zwolnienie z zajęć.

Koleżanki i koledzy Joanny z całej Polski dawno już przysłali odpowiedzi. Tylko z Krakowa nie było żadnych wieści. Może telegramy nie dochodziły? Może nie było jej w domu? Co robić? Do wyjazdu zostało 10 dni. Trzeba ostatecznie zarezerwować kuszetki, kupić bilety, zamówić posiłki. Ostatnia nadzieja w chorągwi. I tak się zaczęło:

TELEFON I. Piątek. Odbiera dh. Jacek Referuję mu całą sprawę. Proszę, by ktoś pojechał do domu Joanny (podaję adres) – przecież to w tym samym mieście. W odpowiedzi otrzymuję obietnicę: JUTRO komendant d/s organizacyjnych poinformuje mnie o wszystkim.

JUTRO czyli sobota. TELEFON II. Komendanta d/s nie ma. Druhna K. słyszała o sprawie, ale wczoraj w hufcu Joanny był turniej wiedzy, nikogo nie można było złapać. Zaraz zaczniemy załatwiać. Otrzymuję kolejną obietnicę: POJUTRZE, czyli w poniedziałek druhna K. zadzwoni do mnie i poinformuje o wszystkim.

POJUTRZE czyli Poniedziałek. TELEFON III. Nie doczekałam się i dzwonię sama. Druhna K. będzie dopiero w czwartek. Druh odbierający telefon nie obiecuje już nic. Dostaję od niego numer telefonu do G. gdzie przebywa komendant chorągwi.

TELEFON IV. Dzwonię do G. Na szczęście jest komendant. Dziesiąty już chyba raz opowiadam całą historię. Komendant obiecuje: JUTRO komenda hufca Joanny wszystko załatwi.

JUTRO czyli wtorek. TELEFON V. Tym razem od komendy hufca. Dostaję niekompletny adres szkoły Joanny i informację, że komenda hufca podjęła za nieobecną Joannę decyzję o udziale w obozie. Ona sama będzie w Krakowie dopiero w czwartek. Proszę więc, żeby po powrocie zadzwoniła do mnie. Podaję na wszelki wypadek, po raz piąty, czas i miejsce zbiórki w Warszawie.

– No – pomyślałam sobie – jeszcze z chorągwią krakowską nie jest najgorzej. W przypadku alarmu, jeśli tylko sam komendant ujmie ster w swoje ręce, to po kilku dniach wszyscy się zbiegną. A swoją drogą można pozazdrościć komendantowi takich podwładnych – nie narażą dobrego imienia komendy żadną nieprzemyślaną akcją.

Niestety, mój optymizm był przedwczesny i wręcz niewskazany. Ta historia nie miała happy endu. W czwartek nie doczekałam się telefonu od Joanny, a w następny wtorek, bez niej wsiadaliśmy do pociągu. Po powrocie dostałam od Joanny list. Okazało się, że sama zrezygnowała z wyjazdu i podobno wysłała do mnie 2 telegramy z informacją o tym. Próbowała też niestety bezskutecznie dodzwonić się do redakcji.

My poinformowani przez komendę hufca o tym, że jedzie, wykupiliśmy dla niej bilet, zarezerwowaliśmy posiłki. Niby nic wielkiego te kilkaset złotych i wolne niewykorzystane przez nikogo miejsce. Cóż to jest np. w porównaniu z kosztem uprzątania śniegu w większym mieście po jednodniowych opadach.

ANNA PACIOREK

JEDNI BUDUJĄ, DRUDZY RUJNUJĄ...

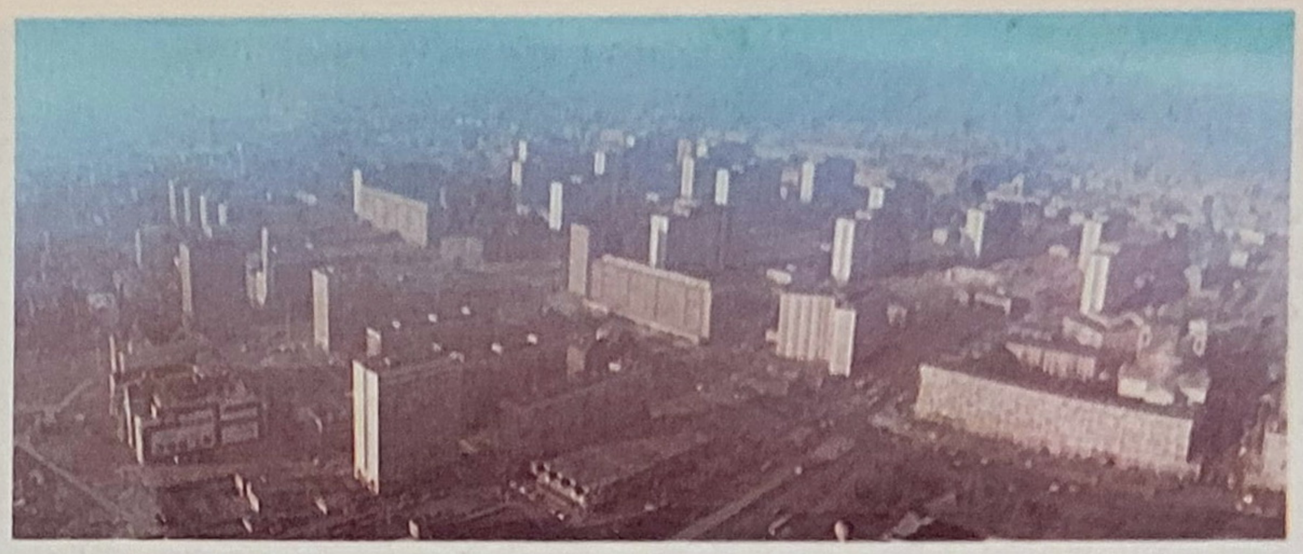

Pewnego dnia wprowadzamy się do nowego bloku. Puste, bezosobowe klatki schodowe, biel ścian niezepsuta ani jedną rysą, całe kontakty i wyłączniki, błyszczące klamki zsypów na śmieci. Winda? Działa... Proszę kolegów wandali – czyż możemy na to pozwolić? Czy brak naszej aktywności ma sprawić, że będziemy mieszkali w tym sterylnym środowisku bez zmrużenia oka? Otóż nie – do roboty, proszę koleżeństwa!...

I oto na ścianach pojawiają się pierwsze napisy, wyznania, serca i strzały. Ginie gdzieś nawet automat telefoniczny. Znikają obudowy gniazdek elektrycznych na korytarzach, dziura po wyrwanym zamku drzwi służy jako popielniczka. Sufit też nie jest miejscem bezpiecznym – przecież da się do niego przykleić zapaloną zapałkę... Plastikowe wykładziny poręczy, drzwi wejściowe, przyciski tablicy sterowniczej windy... listę zniszczeń można by mnożyć w nieskończoność.

Nasze zdjęcia wykonaliśmy w dwóch warszawskich osiedlach: Chomiczówka i Bródno. Obiektów do fotografowania nie dobieraliśmy tendencyjnie. Pewnego dnia weszliśmy po prostu do kilku wybranych przypadkowo bloków mieszkalnych. To, co tam zobaczyliśmy, przedstawiamy obecnie jako temat do rozważań.

Czy klatki schodowe tak właśnie wyglądające, są miejscem przez które chętnie się przechodzi? A ile kosztuje taka działalność? Setki tysięcy? Nie, miliony! (mz)

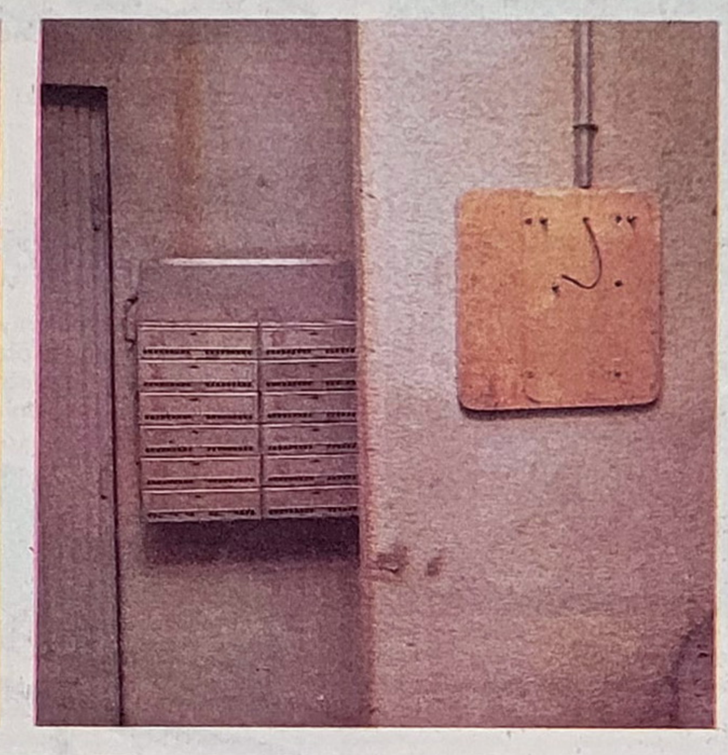

Fot. **Marek Szymański** i **Jacek Łopuszyński**

Lektura dla tych, którzy zauważają, że świat się zmienia

W bezpowrotną przeszłość odchodzą czasy, kiedy każdy mógł sobie w czasie wakacji wyruszyć „w Polskę", jeśli tylko miał plecak i trochę sprzętu biwakowego. Coraz ostrzej respektowane wymogi środowisk przyrodniczych sprawiły, iż z każdym rokiem mniej jest terenów, gdzie wolno rozbić namiot, rozpalić ognisko, czy rozłożyć się z obozowiskiem. Oczywiście szczególnie wielę kłopotów sprawia wyszukiwanie miejsc pod duże obozy na kilkadziesiąt osób, a więc dla drużyny czy szczepu. Wiąże się to zresztą nie tylko z uzyskaniem odpowiednich zezwoleń od władz terenowych, ale i zapewnieniem dostępu do czystej wody, podłączeniem elektryczności, telefonu, zorganizowaniem ciągłego dowozu żywności, przygotowaniem obiektów sanitarnych...

Całą tę pracę trzeba za każdym razem wykonywać od nowa, przewozić i przenosić tam i z powrotem tony sprzętu, likwidować sanitariaty, usuwać śmieci itp. I choćby się nie wiem jak starać, to zawsze po obozowiczach zostają wydeptane ścieżki, połamane gałęzie drzew, zrujnowane saperkami poszycie, wypłoszona zwierzyna.

Romantyzm harcerskich obozów w leśnej głuszy ma więc swoje drugie oblicze znane najlepiej zaharowanym służbom kwatermistrzowskim, oblicze, o którym skłonni jesteśmy zapomnieć.

Książka, którą dziś Wam polecamy*) jest pierwszym zwiastunem przemian, które w tej sprawie powoli torują sobie drogę w harcerstwie. Krótko mówiąc: chodzi o zmianę stylu obozowania. Puszczańska pionierka i jej piękne tradycje będą musiały ustąpić miejsca nowym, lepiej dostosowanym do współczesnych warunków sposobu organizowania letniego wypoczynku.

Autor proponuje zakładanie baz obozowych o stałej lokalizacji. Korzyści z takiego przedsięwzięcia jest wiele, przede wszystkim ta, iż baza może obsłużyć większą liczbę osób niż tradycyjny obóz, zapewniając bez porównania wyższy standard. Szczególnie ważne jest to, jeśli chodzi o zuchów. Odpadają też kłopoty z każdorazowym organizowaniem wszystkiego od początku; wiele sprzętu jest stale na miejscu, tak, że można tu przyjeżdżać nawet zimą.

Hm. Wojciechowski bardzo dokładnie analizuje wszystkie problemy, z którymi zetknie się komitet budowy takiej bazy, spełniającej rolę centrum gospodarczego dla kilku obozów. Książka zawiera szereg praktycznych budowlanych rad, program zagospodarowania terenu, szczegółowe opisy wykonania wszelkich instalacji, różne warianty pawilonów, urządzeń pomocniczych, sportowych itp. Całość uzupełniają liczne rysunki, plany, przykłady rozwiązań szczegółów konstrukcyjnych, a nawet omówienie wszystkich potrzebnych do budowy materiałów i narzędzi. Wydaje się, że książka Marcina Wojciechowskiego zainteresuje nie tylko ewentualnych budowniczych bazy harcerskiej, ale i tych, którzy zamierzają sami zabrać się za budowę letniego domku. Z tego względu radzę – szczególnie komendantom hufców i szczepów – aby ją jak najprędzej nabyli. Wiosną – kiedy działkowicze się obudzą – może być za późno...

JERZY DĄBROWSKI

*) **Marcin Wojciechowski, BAZA OBOZOWA**. Wyd. MAW, Warszawa 1978, nakład 20 tys. egz., cena 36 zł.

TAJEMNICZY SŁUP ZBUDOWANY Z KAMIENI KRYŁ PAKIET LISTÓW SPRZED 100 LAT

MOSKWA (PAP). W czasie badań hydrograficznych Archipelagu Ziemi Franciszka Józefa radzieccy naukowcy znaleźli pakiet listów sprzed przeszło stu lat. Na jednej z wysp archipelagu naukowcy zwrócili uwagę na słup zbudowany z kamieni. Gdy go rozebrano, znaleziono w środku szczelnie zamkniętą drewnianą skrzynkę, a w niej listy starannie owinięte w nieprzemakalne płótno. Jak się okazało, autorami znalezionych listów pisanych w kilku językach, m.in. po polsku, byli uczestnicy austro-węgierskiej wyprawy polarnej, która odwiedziła te rejony w latach 70-tych ubiegłego stulecia. Ekspedycja zamierzała przepłynąć od Morza Barentsa do Cieśniny Beringa, jednak celu swego nie osiągnęła. U brzegów Nowej Ziemi jej statek został zmiażdżony przez lody, ale członkowie wyprawy, po długiej, uciążliwej wędrówce, zdołali powrócić do domu.

(kż)

TELEFON DLA GŁUCHONIEMYCH

JAPONIA (PAP). Wymyślono tu urządzenie pozwalające korzystać z telefonu głuchoniemym. Składa się ono z nadajnika i odbiornika: daje się podłączyć do każdego aparatu telefonicznego. Po wykręceniu odpowiedniego numeru głuchoniemy zaczyna pisać ołówkiem na specjalnej płytce. Litery przetwarzane są na impulsy elektryczne, przekazywane linią telefoniczną. Na aparacie odbiorczym specjalny pisak zaczyna odtwarzać pisane przez nadawcę słowa na aluminiowym papierze.

(kl)

REDAKCYJNA POCZTA

Niedzielna samotność

Mieszkam na wsi i to kilometr od jej centrum. W tym roku ukończyłam „podstawówkę" i przez to straciłam najlepszą przyjaciółkę. Jeszcze w zeszłym roku chodziłyśmy razem do szkoły, a teraz jestem kompletnie sama. Mieszkamy 3 km od siebie. Gośka dojeżdża do szkoły do innego miasta niż ja, dlatego też nie mamy możliwości spotykania się. W dni powszednie nie mam czasu się nudzić, gdyż jestem zajęta nauką, ale najtrudniejsze są niedziele. Wtedy jest mi strasznie smutno i przykro. Wyszłabym dokądkolwiek zamienić z kimś kilka słów, ale naprawdę nie mam do kogo. Poza tym w naszej miejscowości nie ma żadnego klubu, ani nawet świetlicy, gdzie można by się rozerwać. W niedzielę często zbiera się mi na płacz i nie wiem jak sobie z tym radzić. Często nie mam się do kogo odezwać. Poradźcie mi co mam robić z tą nudą. Czekam na wypowiedzi innych czytelników „SM". Może mają też podobne kłopoty.

Jadwiga Młynarczyk
Łąka 46
56-405 Brzezia Łąka 46

Mam wszechstronne zainteresowania, jestem wesoła, mam niezwykle bujną fantazję. Szukam kontaktu z fajną i serdeczną istotą.

Ewa Bukowiecka
Oś. Wschód
blok 2 RL 5/1
26-500 Szydłowiec

Stefko, pozostań sobą

Chodzę do VII klasy. Uczę się bardzo dobrze. Nikt jeszcze nie powiedział, że jestem lizusem. Jestem lubiana. Pomagam w nauce koleżankom i kolegom. Mam tylko jeden kłopot. Jestem łobuzem. Nie, nie chodzi o palenie „fajek" czy picie alkoholu. Chodzi mi o to, że lubię rozrabiać. Posiadam wiele cech chłopięcych. Dobrze gram w nogę. Lubię się bić. Uwielbiam boks i judo. Noszę ręce w kieszeniach i gwiżdżę. Na lekcjach rozrabiam z kolegami. Nauczycielom robię głupie żarty. Idąc ze szkoły głośno śpiewam z kumplami i gwiżdżę. Jestem silna, twarda, uparta i wytrzymała. Lubię twarde charaktery u innych ludzi. Z powodzeniem mogłabym być chłopakiem.

„Stefka"

Lekarstwo na nieśmiałość

Piszę w związku z listem „Marioli" na temat jej nieśmiałej koleżanki. Jestem siódmoklasistką. Wydaje mi się, że nie jestem brzydką dziewczyną; dobrze się uczę, pięknie deklamuję wiersze i nawet dobrze śpiewam i tańczę. Moją wadą jest tylko wielka nieśmiałość. Przez wstydliwość cierpi także moje serce. Kocham pewnego chłopca z mojej klasy, lecz nie śmiem się do niego nawet odezwać, a co dopiero wyznać mu swe uczucia. Wszystkich śmiałych i idących przez życie, bez żadnych przeszkód proszę o przekazanie do „Redakcyjnej Poczty" lekarstwa na nieśmiałość.

„Blanka"

Konkurs dla czytelników z fantazją!!!

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Polskie Radio w programie II na falach średnich zawsze o godz. 15.20 od 29 stycznia do 3 lutego nadaje słuchowiska Wojciecha Wiśniewskiego, które są jednocześnie konkursem. Chodzi mianowicie o napisanie własnego, innego zakończenia niż te, które usłyszeliście przez radio. Swoje propozycje innego zakończenia któregokolwiek z nadawanych w tym czasie słuchowisk przysyłajcie DO DNIA 15 LUTEGO BR. POD ADRESEM REDAKCJI „ŚWIATA MŁODYCH", UL. MOKOTOWSKA 24, 00-561 WARSZAWA Z DOPISKIEM NA KOPERCIE: OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI. W nagrodę autor wyróżnionego zakończenia zrealizuje przy pomocy Wojciecha Wiśniewskiego nowe słuchowisko dla radia. A oto streszczenie najbliższego słuchowiska.

BEATA MA OCZY BRĄZOWE (3.II.sobota) Słuchowisko reżyserowała Stanisława Grotowska

Bohater słuchowiska, Janusz nie lubi dziewczyn z klasy. Za karę jednak wychowawca każe mu siedzieć w jednej ławce z Beatą. W klasie była to najgorsza kara, która mogła spotkać chłopca. Wszyscy dokuczają Januszowi nazywając Beatę jego narzeczoną. Powoli jednak przestają się interesować tą przymusową parą i wtedy Janusz spostrzega, że Beata zaczyna mu się podobać. Próbuje z nią rozmawiać, ale Beata zrażona jego poprzednim zachowaniem nie zauważa prób nawiązania z nią kontaktu. Na zabawie szkolnej Janusz postanawia przeprosić Beatę podczas tańca. Nie umie jednak tańczyć i prosi o lekcje swoją starszą siostrę. Niestety, okazuje się zupełnym beztalenciem w tej dziedzinie sztuki. Pomimo złych postępów w nauce tańca postanawia iść na zabawę i zatańczyć z Beatą.

A OTO OSTATNIA SCENA SŁUCHOWISKA:

Kiedy ubierałem się po zabawie w szatni, „Plama" syknął mi nad samym uchem tylko jedno słowo:

– Zakochany!

Nawet nie byłem na niego zły. Zakochany? Naprawdę nie wiem, na czym to polega. Zmieniłem tylko zdanie o dziewczętach. Bardzo dobrze, że istnieją niektóre z nich są bardzo miłe, a Beata jest wspaniałą dziewczyną.

W domu na melodię tego pierwszego tanga, które tańczyłem z dziewczyną o brązowych oczach, wyśpiewywałem bez przerwy te same słowa: „Beata ma oczy brązowe, brązowe, brązowe". A następnego dnia posadzono mnie z powrotem obok Andrzeja.

CZY NIE ROZCZAROWAŁO CIĘ TAKIE ZAKOŃCZENIE TEGO SŁUCHOWISKA? A JAKA JEST TWOJA PROPOZYCJA? JAK TY CHCIAŁBYŚ, ABY TO SŁUCHOWISKO SIĘ ZAKOŃCZYŁO?

Remek postanowił zbudować pojazd jakiego jeszcze nie było na minikarowych torach naszego kraju
Ze starego minikara skonstruował samobieżny wehikuł o napędzie elektrycznym, wyposażonym w światła, kierunkowskazy, a nawet radio...

Minikary na start!

TRZY ETAPY JEDNEJ PASJI

Stolica ma szczęście do dobrych minikarowców. Najpierw w inaugurujących u nas ten sport zawodach królował warszawianin , Andrzej Kobiela. Bezpośrednio palmę pierwszeństwa przejął od niego Andrzej Rębacz, też mieszkaniec syreniego grodu. Kiedy ten przestał jeździć, pojawił się w stolicy kolejny doskonały konstruktor-kierowca – Remigiusz Dziewulski...

Był rok 1971. Remigiusz miał wówczas zaledwie 8 lat. Ale doskonale pamięta dzień, w którym znalazł to, czego szukał, co dało początek wieloletniej pasji. Oto „Kalejdoskop Techniki" zamieszcza na swoich łamach plany i opisy konstrukcji minikara. Nie zastanawia się wiele. Za własne oszczędności kupuje koła, zaczyna też gromadzić potrzebne do budowy materiały. Nieco później znajduje plany jeszcze jednego pojazdu. Był to popularyzowany przez „Świat Młodych" minikar typu „Grześ".

Niezwykle dugo, choć spieszył się bardzo pracował nad swoim pierwszym wózkiem. Koniecznie chciał wystartować w zawodach Szczecin 76. Dziś mówi, że mało brakowało, a na imprezę wcale by nie pojechał. Zabrakło pieniędzy na wykończenie konstrukcji. O jego kłopotach dowiedział się na szczęście pan Ryszard Krasnodębski, nauczyciel szkoły nr 149. Opiekun modelarni zrozumiał potrzebę swego ucznia; nie tylko zezwolił Dziewulskiemu na korzystanie ze szkolnych maszyn i narzędzi, ale również z funduszów komitetu rodzicielskiego pokrył część wydatków związanych z budową minikara. Sportowy debiut wypada nadspodziewanie dobrze. Remigiusz po niezwykle zaciętej walce zdobywa tytuł wicemistrza kraju. Przegrywa tylko z doskonałą reprezentantką Sopotu – Kasią Jankowską. Dwa tygodnie później wyjeżdża na zawody do Starachowic. Tam osiąga już najlepsze czasy...

Starachowicki start kończy pierwszy etap konstrukcyjnych zamiłowań Remigiusza. Rozpoczyna się etap drugi; pełen poszukiwań coraz lepszych rozwiązań technicznych, pozwalających nie tylko na szybszą jazdę, ale również zwiększających jej bezpieczeństwo i komfort. I tak, na bazie własnych doświadczeń, po obejrzeniu i przeanalizowaniu konstrukcji minikarów czechosłowackich, powstał nowy pojazd. Ale i stary nie został odłożony do lamusa. Sprzężone z prądnicą dwa akumulatory zapewniły mu napęd. Tak solidny, że pozwala na jednorazowe przejechanie (bez pomocniczego ładowacza akumulatorów) odcinka długości 100 km. Samobieżny wehikuł jest wyposażony w światła, kierunkowskazy, radio...

Nowy minikar zdaje praktyczny egzamin. Miękkie przednie zawieszenie, uzyskane przez zmyślne wykorzystanie kawałków nart, dokładne ustawienie zbieżności kół, staranne wyważenie środka ciężkości oraz solidna metalowa rama zapewniająca dobre osiągi, wystarczające do zdobycia pierwszej lokaty na kolejnych mistrzostwach Polski.

Jednak ubiegłoroczne zawody kończy na VI miejscu. Nowa, zmoczona deszczem nawierzchnia starachowickiego toru nie trzyma rozpędzonego minikara. Aby odpowiednio minąć ustawione bramki Remigiusz musi hamować, ale i tak wpada w poślizg. Tylko wyjątkowym umiejętnościom kierowania i zimnej krwi zawdzięcza ukończenie mistrzostw. A na podium stanęli posiadacze... wolniejszych wózków.

Ostatni start, na towarzyskiej imprezie w Cieszynie, przekonał go, że musi zbudować jeszcze jeden minikar. Bardziej zwrotny, z niższym fotelem, który powinien lepiej utrzymywać zawodnika. Myśli także o innych rozwiązaniach, ale nie chce jeszcze o nich mówić. Pokaże je na tegorocznych zawodach.

Były mistrz kraju nie poprzestaje na dotychczasowych sukcesach, konsekwentnie dąży do odzyskania pechowo utraconego tytułu. Patrząc na zapał, z jakim zabrał się do realizacji wytkniętego celu, można sądzić, że dopnie swego. W trzecim etapie swojej pasji osiągnie to, o czym marzył przed laty: o najszybszym i najbardziej posłusznym minikarze.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **Marek Szymański**

OD REDAKCJI: Ciekawi jesteśmy jak przygotowują się do tegorocznych mistrzostw Polski inni minikarowcy. Czekamy na listy!

Zimowe zabawy na każdą okazję

Hasło dnia: TRZYMAJCIE SIĘ CIEPŁO!

NARCIARSKI TOR PRZESZKÓD

Zawody przeprowadzamy w terenie urozmaiconym z naturalnymi przeszkodami. Trasę należy wyznaczyć w zależności od umiejętności narciarskich zawodników. Im są one większe, tym trudniejszy wybiera się teren – zjazdy, podejścia, nierówności i odcinki płaskie. Trasę wyznacza się nie omijając naturalnych przeszkód terenowych. Wszystkie te przeszkody należy pokonywać bez zdejmowania nart. Na trasę zawodnicy wyruszają np. co 1 min. O zwycięstwie decyduje czas pokonania toru.

Rys. **Szarlota Pawel**

Tak się bawili nasi dziadkowie – spróbujcie i Wy!

BUDOWANIE GÓRY Z WODY

Zjawiska fizyczne zawsze fascynowały laików, więc autorzy książek poświęconych zabawom towarzyskim chętnie korzystali z możliwości zadziwienia swych czytelników jakąś ciekawostką z tej dziedziny. Woda – jako ogólnie dostępna – stanowiła najczęściej chyba wykorzystywany rekwizyt w tych zabawach. Jedną z nich przedstawia nasza rycina.

Do dużego kieliszka – lub lepiej szklanki – nalej czystej wody, tyle aby jej pozim znalazł się od 1 do 2 milimetrów poniżej górnej krawędzi. W zabawie może brać udział kilka osób, a polega ona na tym, aby po kolei wrzucały one po jednej monecie do szklanki. Poziom wody zacznie się podnosić, zrówna z krawędzią naczynia, a potem – jeśli tylko monety opuszczane są delikatnie – woda utworzy wyraźnie widoczny wzgórek!

Czyja moneta jako ostatnia wpadnie do naczynia nie powodując przelania się wody przez wierzch – ten może się uważać za mistrza. Zamiast monet, które powinny być jednakowe, aby każdy miał równą szansę, można użyć guzików, średniej wielkości gwoździ lub nawet spinaczy.

(jd)

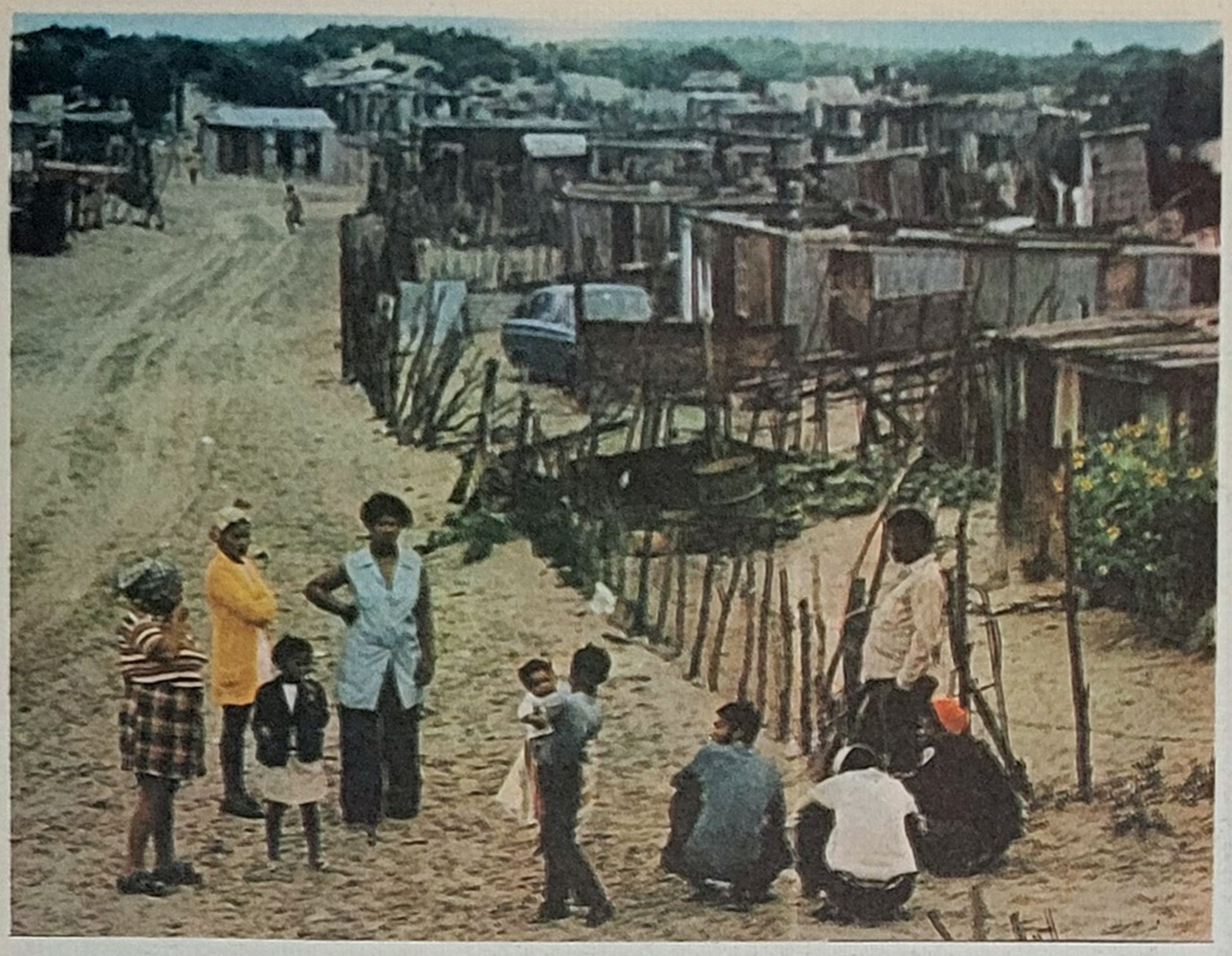

Większość mieszkańców Suazi nie korzysta z dochodów z gospodarki kraju. Trafiają one do kieszeni białych osadników i do królewskiego skarbca

Fot. archiwum

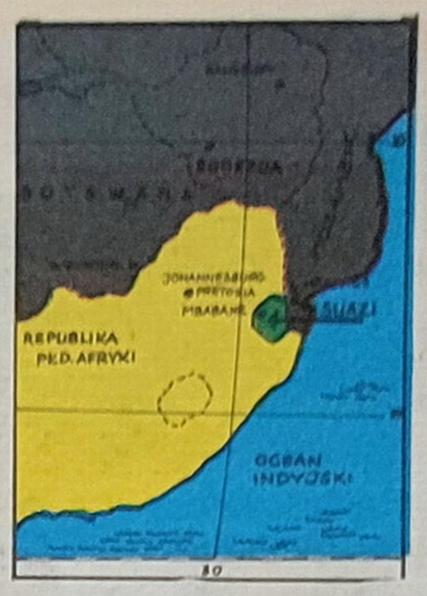

Obszar – 17364 km kw
Ludność 500 tys. (1976)
Stolica – Mbabane
Ważniejsze miasta – Manzini, Have Lock
Ustrój – monarchia absolutna
Gospodarka opiera się na eksploatacji rud żelaza, azbestu, węgla kamiennego oraz plantacjach (trzcina cukrowa, cytrusy)

Sobhuza II – jak długo trwać jeszcze będzie jego panowanie?

Afryka od wewnątrz: Suazi

W KRAJU LWA I SŁONICY

Genowefa Czekała

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Przybysz, który znajdzie się w zielonym i górzystym Suazi jest zdumiony kontrastem, jaki z jednej strony przedstawiają doskonale utrzymane plantacje należące do 15 tys. białych farmerów – z drugiej – niewielkie zagony chłopskie uprawiane przy pomocy prymitywnych narzędzi. Sobhuza II utrzymuje bowiem w posłuszeństwie rzesze chłopstwa i przeciwstawia się modernizacji kraju, widząc w tym niebezpieczeństwo dla swojego panowania. Jego politykę popierają osadnicy, którzy dzielą się częścią swoich dochodów z Sobhuzą i jego dworem, i nie pragną niczego innego jak utrzymania tradycyjnego systemu rządów. Takie same pragnienie wyrażają spółki południowoafrykańskie, bezkarnie eksploatujące bogactwa młodego państwa.

Choć oficjalnie stolicą jest Mbabane, gdzie nawet wzniesiono za czasów protektoratu parlament, życie polityczne koncentruje się w królewskim kraalu Lobanba, czyli tradycyjnej ufortyfikowanej wsi monarchów Suazi. Rządzą królewscy urzędnicy i doradcy-tinkhundla, a od czasu do czasu na naradzie zjawia się sam władca w tradycyjnej lwiej skórze, z głową mocno już przyprószoną siwizną i ozdobioną strusimi piórami.

Królestwo Suazi, lub jak je nazywają mieszkańcy – Ngwane – przeżywało okres rozkwitu na krótko przed erą kolonialną i jego władcy wojując z ościennymi ludami rozszerzyli granice państwa. W pamięci mieszkańców żyją więc dni chwały i świetności, gdy pochody wojenne i tańce zwycięstwa odmierzały czas. Wspomnienie dawnej świetności odżywa podczas licznych uroczystości plemiennych celebrowanych wszakże dziś przy użyciu współczesnej techniki – głośników, petard i sztucznych ogni, reklam i neonów. Największe uroczystości zbiegają się z okresem naszego Bożego Narodzenia. Jest to „Incwala", zwana przez osadników „pogańskim Bożym Narodzeniem". Jest to jakby święto lata, które na półkuli południowej przypada na okres, gdy u nas trwa zima. 21 grudnia król Sobhuza II dokonuje ceremonii zwanej „budzeniem słońca". Jest to magiczno-kultowy zabieg, który zawsze miał na celu podkreślenie nierozerwalnego związku między instytucjami królestwa a zdrowiem i pomyślnością mieszkańców. Przypada on na okres tamtejszych żniw. Poprzedza je dłuższy lub krótszy okres postu. W wielu afrykańskich rejonach jest to istotnie okres głodnego przednówka – dawno już bowiem skończyły się zapasy prosa i kukurydzy, i trzeba zrywać kłącza dziko rosnących roślin, by dotrwać do pierwszych plonów. Ale nikt nie śmie jeszcze ich spożywać, choć żołądek kruczy z głodu, nim król w asyście dostojników i czarowników nie dokona poświęcenia pierwszych misek fasoli i pierwszych ziaren kukurydzy. A sam „ngwenyama", nim pojawi się publicznie po dłuższej, przednówkowej przerwie musi przejść odpowiednie ablucje, spożywając przeróżne mikstury z krwi i żółci poświęconych byków. Poddani mówią wtedy, że król się oczyszcza, a wraz z nim oczyszcza się cały naród. Suazyjczycy wierzą, że śmierć i choroby są wynikiem działania złych sił, przed którymi trzeba ustrzec naród. Po ablucjach następuje czas tańców. Inauguruje je władca w lwiej skórze, który wymachując berłem władzy przechodzi przed sznurem zgromadzonych dostojników – członków królewskiej rodziny – Likoko i wielkiej rady mężczyzn Suazi-Libandla. Wszyscy wyglądają malowniczo w kolorowych strojach, kołpakach z głów dzikich zwierząt, ptasich piórach.

Zwierzęta grają w ogóle ważną rolę w plemiennej symbolice Suazi. Obok lwa – najbardziej jest czczona słonica. Tytuł słonicy przyjmuje matka króla, a po jej śmierci ta z małżonek władcy, której syn mianowany zostaje następcą tronu.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

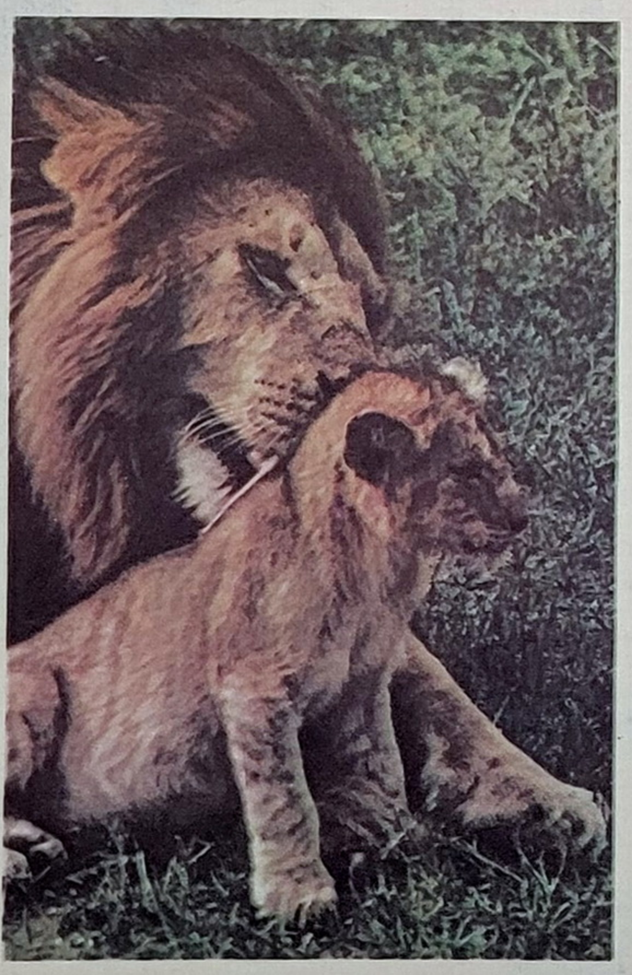

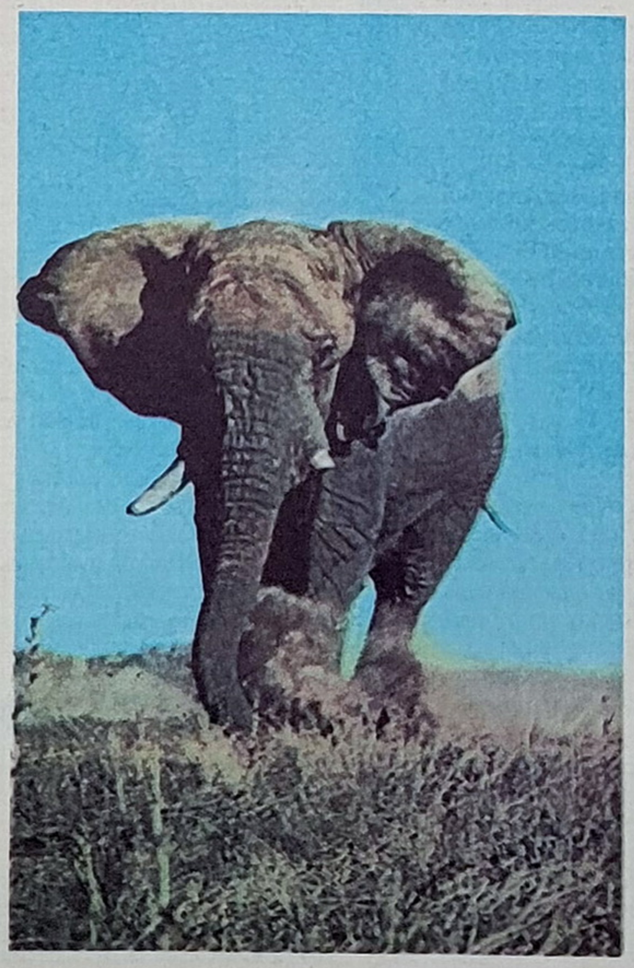

Władcy Suazi odwołują się do symboli najwspanialszych zwierząt Afryki – lwa i słonicy

KAPCIE powinny stać równo!

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Plan lekcji mają tak ułożony, że Kryśka zawsze wraca najwcześniej. Zwykle rzuca się na łóżko (nie pościelone, bo rano leci na łeb na szyję, żeby się nie spóźnić) i czyta gazetę. Nieco później przychodzi Ewka.

Jest jak zwykle zła:

– Znowu zostawiłaś rozbebrane łóżko – mówi z wyrzutem.

Kryśka ostentacyjnie zatyka uszy poduszką. Ewa zaś rozpoczyna zwykłą tyradę.

– Czy ty nigdy nie możesz pamiętać o swoich rzeczach, zobacz jak ten pokój wygląda! Proszę, ciuchy na krześle, grzebień na stole, a przez te twoje kaktusy nie mam gdzie postawić swoich rzeczy. I zobacz, Jolki książki można znaleźć wszędzie! Po co ona je kupuje, jakby nie można było iść do czytelni? A podłoga, spójrz tylko na podłogę! Wczoraj pastowałam, a dziś wygląda jakby jeździł tędy walec...

Kryśka próbuje jej przerwać.

– Chciałam ci zwrócić uwagę, że goście byli nie tylko u mnie. Poza tym zaraz biorę się za sprzątanie. Ty byś chciała, żebyśmy żyły tak, aby nie zostawiać po sobie żadnych śladów, a to jest niemożliwe.

Ewa nie poddaje się.

– Ja im chciałam powiedzieć, żeby zdejmowali buty, ale wy uparłyście się, że to nie wypada. Nikt tu nie potrafi uszanować cudzej pracy...

Minęły cztery miesiące od czasu, kiedy przydzielono im wspólny pokój w internacie. Czuły się trochę nieswojo, pamiętając jeszcze ciepło swoich własnych pokoików w domu. Trzeba było stworzyć jakąś swojską atmosferę. Więc Krystyna przywiozła od lat zbierane kaktusy, Jolka zaś część swego ogromnego księgozbioru. Ewa przytargała... niezliczoną ilość pudełek, pudełeczek i pojemniczków, żeby każda rzecz miała swoje miejsce. Po pewnym czasie czuły się już jak w domu.

Ewa wstaje codziennie o wpół do siódmej i rozpoczyna porządki. Na próżno dziewczyny błagały ją, żeby przeniosła swoje zainteresowania sprzątaniem na nieco późniejsze godziny – nic nie pomogło.

Krystyna stawia szklankę z herbatą na podłogę, obok na serwetce rozkłada ciastka, sama kładzie się na łóżko z książką. Trzeba się uczyć, jutro klasówka.

– Mogłabyś tę herbatę postawić na stole – mówi Ewa – zaraz potrącisz nogą i będzie plama na dywanie, a ja już nie mam „Buchary", żeby to sprzątnąć.

– Daj spokój, przecież uważam – Krystyna odwraca się tyłem, bo wie, że za chwilę nastąpi ciąg dalszy. I rzeczywiście.

– Wczoraj na przykład zostawiłaś kapcie na środku, mokry ręcznik na oparciu krzesła i jak zwykle wycisnęłaś pastę do zębów byle jak, a potem marnuje się pół tubki...

Krystyna wie, że z nauki nic nie będzie. Zamyka książkę, kładzie się na wznak, ręce zakłada pod głowę. Już wie, że jedyną metodą na Ewkę jest wysłuchanie tego, co ma do powiedzenia. Nie zawsze daje to jednak dobre rezultaty. Kiedy Ewa jest zła, wyciąga najcięższą broń – czyli spis tego, co kto zrobił.

– Ja wam dziewczyny nie wymawiam, ale... jeszcze się nie zdarzyło, żebyście bez napominania wzięły się za porządki. A ja, proszę, wstałam rano, zdążyłam posprzątać, ułożyć w szafie, zrobić pranie. A wy?!

Ani Kryśka, ani Jolka nie są bałaganiarami. W ich domach zawsze przywiązywano wagę do czystości i tego się nauczyły. Obie jednak uważają, że dom jest do mieszkania, a nie do sprzątania i tę ostatnią czynność trzeba robić wtedy, kiedy jest to potrzebne. Obydwie należą do Dyskusyjnego Klubu Filmowego i uznawane są w tej dziedzinie za autorytety. Jolka znosi stale jakieś nowe cenne pozycje do swego księgozbioru, które według Ewy są absolutnie zbędne, bo tylko kurz się na nich gromadzi (a przecież każdy wie, jak trudno usunąć to paskudztwo z książek).

Ewa bardzo nie lubi kaktusów Krystyny. Może nie robią takiego bałaganu jak książki, ale zajmują zbyt wiele miejsca zważywszy na to, że jest ich chyba około setki.

Łatwo można sporządzić listę rzeczy i czynności, których Ewa nie znosi. A więc: zostawiania szczoteczek do zębów na umywalce, a nie w przeznaczonych do tego celu kubeczkach, nieumiejętnego wyciskania pasty do zębów, zostawiania brudnych szklanek po herbacie, kładzenia gazet na stole nawet w chwili ich czytania, krzywego ustawiania kapci i butów itd., itd. Długo trzeba byłoby jeszcze wymieniać. Dużo trudniej powiedzieć, co Ewa lubi. Zainteresowań nie ma żadnych, nie zbiera niczego; no, może to sprzątanie jest jej pasją.

Nieraz dochodziło do gwałtownych dyskusji między nimi. Dziewczęta zarzucały, że świat kończy się dla Ewy na śmieciu pod łóżkiem, że nie zrobiła jeszcze niczego. Nie odniosło to skutku. Ewa zaś zupełnie nie rozumie Jolki i Kryśki, ich wiecznych dyskusji na temat literatury czy filmu. Niepokoi się trochę o nie, bo uważa je za absolutnie nieprzygotowane do życia...

ANNA CHEŃSKA

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

FORD GRANADA 2,0 L

Zachodnioniemiecka filia amerykańskiego koncernu Forda jest w RFN jedną z największych wytwórni samochodów osobowych, małolitrażowego FORDA FIESTY, trochę większego FORDA ESCORTA, średniolitrażowego FORDA TAUNUSA, samochodu o charakterze sportowym – FORDA CAPRI – do największego FORDA GRANADA.

Samochody FORD GRANADA produkowane są w ramach całej serii różnych modeli.

Dla przedstawienia w naszym kąciku wybrałem model FORDA GRANADY wyposażony w silnik 2-litrowy i nadwozie czterodrzwiowe.

Sylwetka tego samochodu, spokojna i harmonijna, nadaje pojazdowi cechy lekkości i elegancji. Szczególnie fotogeniczny jest przód pojazdu z prostokątnymi reflektorami i dwoma wlotami powietrza dla celów chłodzenia silnika, przedzielonymi zderzakiem obłożonym grubą warstwą elastycznego tworzywa sztucznego. Oblachowanie wlotu powietrza znajdującego się poniżej tego zderzaka przechodzi w kształt przedniego spoilera. Powierzchnie boczne nadwozia, położone poniżej połowy drzwi, zostały przetłoczone w celu zwiększenia sztywności konstrukcji nadwozia. Listwy gumowe z metalowymi wzmocnieniami zapobiegają przy mniejszych kolizjach wgnieceniom drzwi i chronią powierzchnie lakieru od ewentualnych zadrapań i uszkodzeń. Tył samochodu zaopatrzony jest w duże, zespolone światła, z których najważniejsze, a więc pozycyjne i kierunkowskazów, widoczne są również z boku. We wnętrzu mieści się pięć osób. Z przodu są pojedyncze fotele, z tyłu siedzenie typu kanapowego. Zarówno przy przednich fotelach, jak i tylnym siedzeniu znajdują się wysuwane podłokietniki.

FORD GRANADA posiada samonośne nadwozie.

Wyposażony jest w silnik o pojemności 1993 cm sześc. Silnik ten wykonywany jest w dwóch wersjach: jako czterocylindrowy – z cylindrami ułożonymi w jednej linii, i sześcioma cylindrami umieszczonymi w dwóch blokach w kształcie litery V. Pierwszy, a więc 4-cylindrowy, posiada moc 99 KM przy 5200 obr/min. i stopniu sprężenia 9,2. Drugi jest nieco słabszy, gdyż moc jego wynosi 90 KM, jednakże przy obniżonych obrotach do 5000 obr/min. i zmniejszonym stopniu sprężania do 8,75. Te obniżone parametry stosuje się po to, by podwyższyć żywotność silnika.

Silnik ten zlokalizowany jest z przodu, a napęd od niego przenoszony jest na tylne koła za pośrednictwem 4-przekładniowej skrzyni biegów lub, na życzenie, za pośrednictwem automatycznej skrzyni biegów. Zawieszenie wszystkich kół jest niezależne na wahaczach resorowanych sprężynami śrubowymi, we wnętrzu których umieszczone są amortyzatory.

Dane tego samochodu są następujące: długość 4630 mm, szerokość 1740 mm, wysokość 1380 mm, rozstaw osi 2770 mm, ciężar 1225 kg. FORD GRANADA 2,0 L rozwija prędkość maksymlaną 160 km/godz. i zużywa od 8 do 13 litrów paliwa na 100 km.

ZENON DUTKIEWICZ

W naszej pracowni...

Na hasło „Pracownia przyrodnicza" przychodzi wiele listów od czytelników z miast i pojedynczych gospodarstw położonych z dala od wiosek. Teraz, zimą, gdy trudniej jest wyruszyć w teren, na szkolnej pracowni powinna się koncentrować uwaga uczniów -przyrodników. Dziś kolejna porcja listów czytelników. A przy okazji zdjęcie z pracowni przyrodniczej. Podpis jest chyba niepotrzebny...

„Będąc małym dzieckiem bardzo lubiłam zwierzęta. Również bardzo lubiłam bajki właśnie o zwierzętach. Interesowały mnie leśne, bo rzadko je widywałam, natomiast domowe mniej, gdyż widywałam je codziennie i bawiłam się z nimi. Później jednak przekonałam się, że chyba nigdy w życiu nie będę miała takiej styczności ze zwierzętami leśnymi-dzikimi, jak z domowymi, które nie boją się człowieka. Po dłuższym namyśle założyłam niedużą hodowlę królików."

Danuta Mentel, Zawoja.

„Na naszych lekcjach jest nudno, dlatego, że nauczycielka powie tylko to, co ma powiedzieć i mówi nam, żebyśmy sobie ten temat przeczytali i nauczyli się, i w ogóle nic nie mówi ciekawego. Ja sobie wyobrażam, że nauczycielka powinna powiedzieć na ten temat co dzisiaj będziemy brać, a potem dodać jeszcze parę słów, co widziała i co zaobserwowała. Wyobrażam sobie, jakby we wszystkich szkołach, w pracowniach przyrodniczych było jak w kwiaciarni. Byłoby w klasie o wiele ciekawiej i przyjemniej siedzieć wśród zieleni. I jestem ciekawa czy istnieją takie szkoły.

Małgorzata, Kluczbork

„Chcę opowiedzieć o hodowli sukulentów w naszej szkolnej pracowni przyrodniczej. Kiedy otrzymaliśmy nowy budynek szkolny, trzeba go było ożywić. Wiemy, że do tego konieczne są rośliny. Prawie każdy uczeń przyniósł do szkoły jakąś roślinę doniczkową. Były to różne kwiaty: trzykrotki, pelargonie, begonie, bluszcze i inne, a wśród nich rośliny o grubych, mięsistych liściach. I tak się zaczęło..."

Anna Leśniak, Stryszawa

„Królikami interesuję się już od 7 roku życia, od chwili, gdy rodzice zakupili królika samicę i samca od sąsiadów. Początkowo tylko chodziłam do klatki oglądać króliki, ale kiedy na lekcjach zoologii w klasie VII nauczyliśmy się o króliku, zainteresowałam się moimi króliczkami nieco więcej. Poszukałam w bibliotece książki na ich temat, ich pochodzenia oraz jak je karmić."

Bogusława Dyrcz (Jam)

SPROSTOWANIE

W notatce „Nowe wieści o starych znajomych" („ŚM" nr 5–6) mylnie podaliśmy, że zawarte w niej informacje pochodzą z ostatniego zeszytu „Acta Omithologica". W rzeczywistości pochodzą one z zeszytu wydanego kilka lat temu, nie są to więc zbyt „nowe wieści". Choć w ciągu tych lat w życiu ptaków zapewne zbyt wiele się nie zmieniło, za błąd ten przepraszamy zarówno czytelników, jak i autora pracy, z której korzystaliśmy. (Red.)

Śnieżnym tropem (6)

TCHÓRZ, GRONOSTAJ, ŁASICA

Nasze najmniejsze drapieżniki zajmują różnorakie środowiska: lasy, a zwłaszcza ich skraje, zadrzewienia śródpolne, łąki, zakrzewione brzegi wód, stare parki. Tchórz i łasica często kręcą się w pobliżu wiejskich zabudowań, włażą do stodół i nawet w tak bezpośrednim sąsiedztwie człowieka zakładają gniazda. Za kryjówki służą tym trzem gatunkom nory innych zwierząt oraz rozmaite naziemne zakamarki. Tchórz niekiedy sam kopie nory. Na drzewa wspinają się rzadko. Głównym pokarmem są gryzonie, ptasie jaja i pisklęta. Ponadto – gady, płazy i owady.

Gronostaj i łasica w poszukiwaniu gryzoni drążą pod powierzchnią śniegu tunele, z tym, że łasica robi to częściej. Oba gatunki są tak małe i szczupłe, że dostają się do nor swych ofiar.

Ślady łap różnią się głównie wymiarami. Łasica i gronostaj w przeciwieństwie do tchórza mają palce mocno owłosione, przez co ślady ich są dość niewyraźne.

Wymiary śladów:

Tchórz. Przednia łapa: 3–3,5 cm długości, 2,5–4 cm szerokości. Długość śladu tylnej łapy wynosi 4–4,5 cm. Szerokość śladów zależna od rozstawienia palców.

Gronostaj. Przednia łapa: ok. 2 cm długości, 1,5 cm szerokości. Tylna łapa: 3,5 cm długości, ok. 1,5 cm szerokości.

Łasica. Długość śladu 1,4 cm, szerokość 1 cm.

Tropy. Zwierzęta poruszają się głównie skokami. Tchórz skacząc pozostawia często ślady czterech łap i ogona. Tropy „dwójkowe" są szczególnie częste w głębokim śniegu. Na twardym gruncie długość kroku wynosi 50–60 cm, a w głębszym śniegu 35–50 cm. Gronostaj na twardym gruncie pozostawia trop podobny do wiewiórczego, widoczne są ślady czterech łap. W głębszym śniegu pozostawia trop „dwójkowy" o długości ok. 40 cm, a często z rytmicznie zmieniającymi się długościami, np. 70 cm i 30 cm. Trop łasicy jest podobny, ale mniejszy.

(cdn)

Paweł Koźniewski

A – przednia prawa łapa
B – tylna prawa łapa
C – skoki tchórza, widoczny ślad ogona
D – skoki gronostaja
E – skoki z cyklicznie zmieniającą się długością
Tropy: czerwonym kolorem oznaczono ślady przednich, a czarnym, tylnych łap

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (56)

Dziś list zdobywcy pierwszego miejsca w naszym konkursie

„Zwycięstwo przyniosło mi wielką radość. Nie spodziewałem się, że moje zdjęcie nasunie czytelnikom tyle trafnych myśli i spostrzeżeń. Świadczy to o tym, że jednak wielu z nas potrafi odczytać z przyrody to, co ona sama chce nam powiedzieć.

Za pośrednictwem „Świata Młodych" chciałbym podziękować tym, którzy swoje myśli i głosy skierowali na moją pracę. Ślę pozdrowienia wszystkim uczestnikom konkursu, a zwłaszcza tym, których fotografie były dla mojej poważnym zagrożeniem. Nie chciałbym, aby wynik głosowania miał zniechęcić czy oddalić od fotografii przyrodniczej, a wręcz przeciwnie. Przyroda może dać człowiekowi to, czego nie potrafi mu dać nic innego!

Nagroda, która przypadła mi w udziale przyczyni się do kontynuacji tego, co zostało rozpoczęte..."

GRZEGORZ JAWORSKI
Jastrzębie Zdrój

W KRAJU LWA I SŁONICY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Przed kilku miesiącami, 6 września 1978 roku, Suazi wielodniowymi tańcami świętowało 10-tą rocznicę uzyskania niepodległości. Według przyjętej w 1968 roku konstytucji Suazi miało być monarchią konstytucyjną, a król władcą tylko nominalnym, tak jak to się dzieje w wielu istniejących jeszcze monarchiach na świecie... Władza ustawodawcza miała spoczywać na dwuizbowym parlamencie, do którego zresztą król miał delegować swych ludzi. Ale nawet taki kadłubowy parlament król uznał za niewygodny, stwierdzając, że „to, co dobre dla Europy, nie musi odpowiadać Afryce". I w 1973 roku król-lew z pomocą 690-osobowej armii (szkolonej przez oficerów RPA) rozwiązał parlament, zawiesił konstytucję i osadził w więzieniach przeciwników politycznych domagających się modernizacji władzy i ograniczenia roli króla tylko do funkcji strażnika folkloru i tradycji.

Żeby jednak zachować pozory demokracji, Sobhuza II powołał do życia partię Imbokodvo, co w języku suazi znaczy „oszlifowany kamień". Jest to najdziwniejsze ugrupowanie, jakie można sobie wyobrazić, złożone z plemiennej arystokracji i białych osadników. Stosunki panujące w tej osobliwej enklawie są tak staroświeckie i niewolnicze, że wydają się nieprawdopodobne również w Afryce, która od kilkunastu lat przechodzi proces zmian społecznych, gospodarczych, a przede wszystkim politycznych. I z pewnością król-lew nie utrzymałby się długo u władzy, gdyby nie RPA, która z trzech stron opasuje małe królestwo. Ale po zwycięstwie Mozambiku w długotrwałej walce z kolonizatorami portugalskimi w Suazi zmienił się nieco stosunek do RPA. Sobhuza II bardzo obawia się wpływu rewolucyjnych idei płynących z Mozambiku. W związku z tym powzolił sobie nawet na pewną krytykę reżimu RPA i otworzył granice swego królestwa dla uciekinierów z kraju rasizmu – uczestników strajków i demonstracji w Soweto (przedmieście Johannesburga).

Sobhuza II zaczyna też mieć kłopoty we własnym kraju. Kilka miesięcy temu licealiści kilku klas w Mbabane i Mansini zorganizowali strajk polityczny: domagali się reform politycznych i położenia kresu anachronicznej władzy króla. Na ulice wyszła wyszkolona przez RPA policja. Pałkami rozpędziła młodych gniewnych. Lew Sobhuza II rozgniewał się srodze. Zwołał nawet posiedzenia rad wodzów każąc im zdać relację z zachowania się młodych i wskazać winnych. Królowa – „słonica" zbeształa niepokornych młodzieńców. Winni padli na kolana, prosząc o wybaczenie...

Nikt jednak nie wierzy w szczerą skruchę licealistów, którzy mieli odwagę powiedzieć to, na co nie odważyli się inni sterroryzowani Suazyjczycy. Widzą oni jaśniej to, czego nie dostrzega król-tradycjonalista: ludność ma dość tyranii i pragnie szerokiego otwarcia ku Afryce. Tej Afryce, która razem z władzą kolonialną pozbyła lub pozbywa się tych, którzy stanowili jej łokalne oparcie. O władzy króla lwa i słonicy już niedługo pamiętać będzie tylko historia.

GENOWEFA CZEKAŁA

Szajba?

Czwarty dzień zawodów, temperatura powietrza -12°C. temperatura wody +10°C, siła wiatru 2–3° w skali Beauforta, mgła i zamieć.

Oblodzone szoty opornie przechodzą przez bloczki. Dakronowe żagle przypominają karton. Przy sprzęcie krzątają się postacie w ocieplaczach narciarskich i piankowych strojach płetwonurków, na głowach wełniane czapy i gogle. Trwają właśnie przygotowania do startu w ostatnim biegu regat Ski-Yacht zorganizowanych przez Klub Sportowy ROW w Rybniku na zalewie elektrowni „Rybnik". Niecodzienna scenaria przyciągnęła żeglarzy i windsurfingowców z Węgier, Austrii, Czechosłowacji, NRD i Polski. W skład konkurencji wchodzą wyścigi żeglarskie i narciarskie – o ostatecznym rezultacie decydują łączne wyniki z obu dyscyplin. Zaskakujące to połączenie – narty i żagle, lecz tylko pozornie. Coś w tym jest, że żeglarze z reguły jeżdżą na nartach, a narciarze żeglują. Czy to wspólne umiłowanie zmagań z przyrodą, wiatrem, wodą i przestrzenią, czy to zwykła „szajba"?

Tekst i zdjęcia
ZBIGNIEW BISANZ

nym wzrostem liczby pasażerów w związku z rozpoczęciem roku szkolnego; nieprzyjemna historia z doktorem nauk, przybyłym ze stolicy, który zostawił w aucie – jechał „na łebka" – teczkę z projektami. Doktor nauk nie zapamiętał numeru, ani nawet koloru samochodu, ani wyglądu kierowcy, w dodatku nie pozwolił podać do wiadomości, co to były za projekty – jakby utrzymanie teraz tej tajemnicy mogło mieć jakiekolwiek znaczenie. Największe jednak ożywienie wśród obecnych wywołała wiadomość o bezczelnym napadzie nieznanych sprawców na łaźnię fińską – włamali się do szatni i ukradli ubrania kąpiących się. Na ławach w saunie nikt nie wstydził się swojej nagości, ale ci sami ludzie w żaden sposób nie chcieli się zgodzić na jazdę nago do domów, chociaż milicja dawała im autobus z zasłoniętymi oknami. Trzeba było powiadomić rodziny wszystkich poszkodowanych i niemal do rana zbierać po mieście garnitury, palta i obuwie.

Major – przedstawiciel wydziału wiejskiego rejonowej komendy milicji – złożył meldunek o obrabowaniu kasy kołchozu. Grubas o dobrodusznym wyglądzie był dotąd powszechnie znany jako skrzypek, aktywnie uczestniczący w milicyjnych koncertach amatorskich. Nietrudno się było zorientować, że upajał się rzadką możliwością wystąpienia przed kompetentnym audytorium. We wstępnej części swego meldunku omówił obszernie osiągnięcia i metody walki z przestępczością w rejonie, przytaczając dla porównania wskaźniki przedwojenne, a także dane z sąsiednich i dalszych rejonów kraju.

W popielniczkach zaczęły się piętrzyć niedopałki. Po pół godzinie podpułkownik Kaszys zrozumiał, że jego optymistyczne prognozy mogą spalić na panewce. Spojrzał na zegarek – żeby nie spóźnić się na wentspilski pociąg, za czterdzieści minut powinien wyjechać. A major dopiero zaczynał referować.

– W domu kultury odbywały się wczoraj gościnne występy teatru. „Dlatego kołchozowa kasjerka wcześniej zamknęła kasę, żeby jej współpracownice zdążyły się przebrać. Z tego właśnie względu w sejfie pozostały owe nieszczęsne dwadzieścia cztery tysiące, które zrabowali nieznani nam sprawcy... Noc była przepiękna. Jaśniały gwiazdy, lekki wietrzyk szeleścił w listowiu drzew... Srebrzyste jezioro za biurem kołchozu nęciło, jeśli już nie do kąpieli, to przynajmniej do podziwiania jego urody. Lecz prawdziwi miłośnicy piękna znajdowali się na spektaklu, a pijacy i nicponie nawet kijem nie dadzą się zapędzić do podziwiania piękna przyrody. Zbieg okoliczności sprawił, że dotychczas nie znaleźliśmy ani jednego świadka, który by widział na terenie kołchozu jakieś podejrzane osoby. Nic sensownego nie umiał powiedzieć również staruszek-dozorca, pilnujący biura, którego złodzieje ogłuszyli uderzeniem pałki tak, że odzyskał przytomność dopiero w szpitalu...

Kaszys denerwował się coraz bardziej. Spojrzał na zegar ścienny i po raz nie wiadomo który sprawdził godzinę na swoim zegarku. Daremne nadzieje – czas biegł nieubłaganie, a major wciąż mówił i mówił.

Żeby ukryć jakoś zdenerwowanie i zająć się czymś, Kaszys zaczął rysować w swoim notesie diebełki i różnych człowieczków, w których przy dobrych chęciach można by rozpoznać niektórych członków jego rodziny. Potem narysował swój dom na Wybrzeżu, przy ulicy Koku.

* * *

Z równym powodzeniem mógłby to być dom któregoś z sąsiadów, ponieważ z daleka wszystkie te tonące w zieleni wille na cichej jurwalskiej uliczce wyglądały identycznie. Z wyjątkiem piętrowego domu Kursisów były budowane w pierwszych latach po wojnie, kiedy ubóstwo materiałów budowlanych mocno ograniczało fantazję. Dlatego indywidualność właścicieli znajdowała upust w zagospodarowaniu ogródków.

Za furtą, na której wisiała deseczka z napisem „R. i E. Kaszys" rozpościerała się nieduża, ale z zamiłowaniem pielęgnowana działka, klomby kwiatowe, placyk ze stołem do gry w ping-ponga, wisiała siatka do badmintona. Psia buda z łańcuchem była pusta. Jej lokator, duży czarny owczarek Czombe, o którego dobrodusznym charakterze doskonale wiedziała okoliczna dzieciarnia, biegał wzdłuż ogrodzenia nie spuszczając z oczu chłopców, grających pośrodku ulicy w guziki.

Obok wzbijając tumany kurzu przejechała ciężarowa taksówka i zatrzymała się przed sąsiednim domem. Właścicielka – tęga starucha – czekała już na kierowcę i z zaskakującą zręcznością zaczęła mu podawać ustawione porządnie jedna na drugiej skrzynki z jabłkami i śliwkami. Ten piękny piętrowy dom za wysokim murem, zbudowany z stylu modnym wśród bogaczy lat dwudziestych – z wieżyczkami, balkonikami, z kilkoma werandami – należał niegdyś do kupca rybnego Kursisa, a po śmierci właściciela stał prawie nie zamieszkany i mocno zaniedbany. Wdowa po kupcu, mimo swej chciwości, o której krążyły legendy, nie wynajmowała pokoi letnikom.

Cdn

KUBUŚ i jego rodzinka

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

2

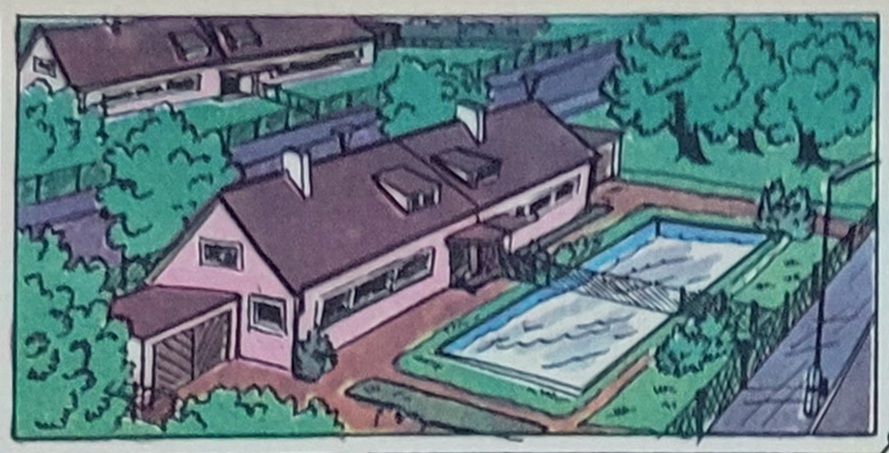

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569)

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Szarlota Pawel

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Nr zam. 414/G **C-109**

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

GUNARS CIRULIS

TŁUM Z ROSYJSKIEGO HENRYKA BRONIATOWSKA

NIE WIERZGIE W BOGIANY

3

Błądząc myślami po plaży, Rasma coraz częściej myliła się, jej cierpliwość ulatniała się wraz z każdym źle przeciągniętym pasemkiem trzciny. I kiedy w drzwiach pojawiła się Regina Kaszys, narastająca irytacja znalazła błyskawiczne ujście:

– Gdzieś była tak długo?! Dlaczego mam się tu sama męczyć z tymi plecionkami, które przyprawiały mnie o mdłości, nawet kiedy byłam uczennicą – mówiąc to, córka gniewnie cisnęła na stół swoją robotę.

– Jak możesz? Dobra nauczycielka powinna umieć wszystko zrobić... za swoich uczniów. Nie powinna natomiast złościć się – rzekła matka pouczającym tonem.

– I komu to potrzebne – te wszystkie konkursy, współzawodnictwa, olimpiady i przeglądy? Przecież nikt już nie ma czasu normalnie się uczyć, ani uczyć innych. Nikt niczym innym się nie przejmuje, tylko walką.

Matka uśmiechnęła się powściągliwie...

– To jest reakcja łańcuchowa, której ani ty ani ja nie jesteśmy w stanie powstrzymać. I na każdym etapie wszystko to ma określony sens. Szkoła chce mieć pierwsze miejsce w rejonie, rejon liczy na przodownictwo w mieście, miasto stara się okazać najlepsze w republice, a republika ubiega się o zdobycie wszechzwiązkowego sztandaru przechodniego...

– A co Waris robi dla dobra naszej szkoły? – przerwała jej Rasma. – Pływa sobie łódeczką po Lelupie. Albert rozjeżdża „Wołgą" swego tatusia. Astra śpiewa smętne romanse, Wilis podnosi ciężary, a Edgar pisze sprawozdania o stanie wpłat komsomolskich składek. Biedne dzieciaczki są tak przeciążone pracą, że ledwie zipią – jakżeby mogły zajmować się jeszcze rękodziełem...

– Trudno stwierdzić, że mają dużo wolnego czasu – usprawiedliwiała ich Regina. – Jeśli jednak dobrze się zastanowić, to rzecz ma głęboki sens pedagogiczny – zmusza się uczniów do wykonywania niemiłej im pracy, której owoce przyniosą im korzyść. Jeśli otrzymamy za tę wystawę nagrodę pieniężną, będziemy mogli kupić perkusję dla orkiestry, siatkę do siatkówki i zorganizujemy wreszcie wycieczkę na wyspę Ruchnu, o której marzysz od ósmej klasy. Zło polega na tym, że zamiast nich pracujemy my obie.

– Co to, to nie! – podniosła się Rasma. – Mam tego dość. Teraz pójdę na plażę, poopalam się trochę. Sądzę, że kąpiel znakomicie wpłynie na zahartowanie mojej nauczycielskiej cierpliwości.

– Nic z tego! – uśmiechnęła się matka. – Właśnie nadeszły rozkazy dowództwa. Waris jest już w drodze do dworca autobusowego, ty masz dyżurować na lotnisku, głowa rodziny pozostawiła sobie najbardziej odpowiedzialny posterunek – o godzinie szóstej będzie z autem czekał na babcię na dworcu kolejowym.

– A ty?

– Nie martw się, o mnie też nie zapomniał. Zamówił telefonicznie ludzi do mycia okien i polecił przygotować ciasto, będę piekła placki.

* * *

Kiedy podpułkownik Kaszys dowiedział się, że minister przełożył termin omówienia problemu przestępczości nieletnich i wyznaczył kolejną odprawę operacyjną, jego radość nie miała granic. Długo nie opuszczał go pogodny nastrój, którego nie zdołał zmącić nawet meldunek dyżurnego o wypadkach. Kilka awarii na drogach, pożar w jednej z rejonowych izb wytrzeźwień; kradzież dwóch aut, przypadki naruszania przepisów paszportowych, aktywizacja złodziei kieszonkowych na dworcu kolejowym – spowodowana gwałtow-

Dokończenie na str. 7